

POD ŁASKAWĄ REKĄ BOGA

„Pouczę ciebie i wskażę ci drogę, którą masz iść; Będę ci służył radą, a oko moje spocznie na tobie” (Ps. 32,8).

„Tak szybko wojna się nie skończy. Uważaj, zabiorą jeszcze i nas, a wówczas biada nam. Teraz jeszcze jesteśmy dla nich za bardzo polscy, ale wkrótce i my przydamy się im na mięso armatnie”. Słowa te powiedział mi pewnego razu któryś z braci, chyba Artur Bergholz. Nie pomylił się. Teraz właśnie przyszła ta pora. Zawsze się z tym liczyłem. Nasza wioska nie była traktowana jako „volksdeutsch”, lecz jako rdzennie niemiecka, ponieważ dopiero 2 lata po wojnie została dołączona do Polski ze względów komunikacyjno-technicznych. Brano jednak również Niemców urodzonych w Rosji, Rumunii, Jugosławii itd. Również brat Artur otrzymał pewnego dnia powołanie.

Nie miałem dotąd żadnego przygotowanego zawczasu zdania odnośnie do służby wojskowej i powołania na front. Za każdym razem, gdy się modliłem, odczuwałem, że mam się tym rzeczom poddać. Psalm 139 był mi gwiazdą przewodnią: „Ty Boże, wiesz, gdzie się kiedykolwiek znajdę”. Będiesz nade mną czuwać w każdej trwodze i nie pozwolisz, abym kogoś zabił. Mój los leży w Twojej dłoni. Możesz także ze względu na mnie przenieść całą dywizję, bo Słowo Twoje mówi: „daję ludzi na twoje miejsce i ludy dla twej duszy”. Świadom Bożej wszechobecności pożegnałem się pocieszony ze swą kochaną żoną i pozostałą jeszcze małą grupą modlitewną zielonoświątkowców w Łodzi, wiedząc, iż On będzie kierować wszystkimi sprawami.

Ubrano nas. Ale mundur nie miał takiej mocy, aby zmienić mnie duchowo. Również w wojsku modliłem się na językach i budowałem się. Tak, śpiewałem również na językach i we wspaniałych rymach śpiewałem potem znów po niemiecku. Nie dałem się opanować przez pruski dryl. Dusza moja znajdowała spokój w Bogu. Musiałem przejść trzy okresy rekruckie. Za każdym razem przydzielano mnie do innego rodzaju broni. Najpierw byłem w piechocie, potem w artylerii, po czym niebawem w łączności jako radiotelegrafista. Sporo tam musiałem przeżyć. Były to przeżycia wnoszące do serca pokój Boży. Alleluja!

W trakcie ćwiczeń terenowych krzyczano raz po raz: „Powstań! Padnij! Czołgaj się!”. Trzeba to było wykonywać błyskawicznie. Bóg jednak był blisko mnie. Wiedział, że do Niego należy moje ciało. Nie szemrałem więc w swym sercu i nie buntowałem się przeciwko prowadzącym te ćwiczenia. Pewnego dnia spytał mnie najbliższy kolega, młody prawnik:

— Gerhardzie, skąd ty bierzesz w sobie ten spokój i pokój?

— Pokój Boży przewyższa przecież wszelki rozum. Daje mi go z godziny na godzinę mój Zbawiciel, Jezus Chrystus, który jest mym dobrym Pasterzem.

W ten sposób świadczyłem często o wspaniałym Imieniu Jezusa. Były również ćwiczenia w strzelaniu. Jako prawoskrzydłowy byłem pierwszy, który założył na siebie karabin. Raz trafiłem w sam środek „12”. Wszyscy zaszumieli i oczekiwali absolutnie powtórnej „12”, jako że drugi strzał musi właściwie wypaść jeszcze lepiej. Nie padł on nawet w obwodzie pierścieni, tylko gdzieś w tarczy, a to znaczy, że nie trafił w pierścień na tarczy celowniczej. Potem był jeszcze trzeci. Jakżeż go szukano! Nie udało się jednak znaleźć, bo wypadł poza tarczę. W gwarze żołnierskiej nazywano go „biletem”. Był to dla mnie dobry bilet do innej jednostki. W ten sposób trafiłem do artylerii, do ciężkich haubic polowych. Oznaczało to na nowo

życie w stylu rekruckim: „Zaprzodkować dział! Odprzodkować!”. A taka rura ważyła 40 cetnarów. Ale nas ośmiu wykonywało to wszystko zgodnie. Podoficer nie chciał z nami zadzierać. Tylko gdy pojawił się porucznik, wysilaliśmy się bardzo. Ten porucznik był po przeszkoleniu nazistowskim, ale nie miał nawet jeszcze 20 lat. Lubił nas poganiać. Ciągłe się miało tę podłą służbę męczącą nogi. I znowu byliśmy w niej. Byłem wówczas naprawdę zmęczony i wyczerpany. Stałem więc i już nie wykonywałem jego rozkazów.

— Krüger, dlaczego stoicie?

— Panie poruczniku, pozwolę sobie zameldować, że jestem zmęczony.

— Zmęczony, zmęczony; powiedzcie, kim jesteście! Czy wiecie w ogóle, kim jesteście?

— Tak jest, panie poruczniku.

— Powiedzcie, na miłość Boską!

— Człowiekiem jestem, panie poruczniku!

Tak właśnie odpowiedziałem. Oczekiwał odpowiedzi, że żołnierzem, a wówczas porządnie by mnie pogonił. Porucznik Wabner obrócił się i pozwolił mi stać. Od owego dnia zaprzyjaźnił się ze mną. Wiedział teraz, że jesteśmy ludźmi, ludźmi stworzonymi przez Boga, a nie bezwolnym mięsem armatnim. Przy pożegnaniu, gdy odchodziłem z artylerii z powodu przeniesienia, podarował mi swój ładny futerał od książki wojskowej. Uścisnęliśmy sobie dłonie i życzył mi wszystkiego dobrego na dalszą drogę życia.

Pewnej niedzieli, kiedy przeniesiono nas już do Francji, szczególnie ciężko odczuwałem swą samotność, bo szukałem dzieci Bożych, a nie znalazłem żadnych. Ruszyłem wiejską ulicą i rozmyślałem o wszystkim ze smutkiem. Naraz zacząłem mówić na językach. W tym momencie pojawiła się wojskowa ciężarówka z napisem OKW (Komendantura) jadąca w moim kierunku. Nagle usłyszałem jak wymawiam słowa: „Zaprowadzę cię do OKW”. Rozejrzałem się dokoła, ale nikogo nie zobaczyłem. I właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że mówię w tej chwili językami. Było to wylanie. Przesłanie Nieba dla mnie samego. Jedynie parę razy otrzymałem osobiste wylanie uzewnętrzniające się w językach. Wtedy było to po raz pierwszy. Zadawałem sobie pytanie, jak będzie z tym dalej.

I oto pewnego dnia zawołano mnie do kancelarii:

— Jakie znacie języki?

— Niemiecki i polski.

— A jak z rosyjskim?

— Też poniekąd.

— A angielski?

— Całkiem dobrze, panie poruczniku.

— No to przygotujcie się zaraz. Wymaszerujecie do Miśni! Dostałem się więc do Wojskowej Szkoły

Informacyjnej OKW w Miśni. Mój Bóg i mój Dobry Pasterz ujrzał tęsknotę za Swymi dziećmi i przyprowadził mnie do tego miasta. Leżało ono na terenie społeczności „Elim” Drezno-Chemnitz-Lipsk. Zbory te były pozbawione swych pasterzy.

Niebawem znalazłem się w Dreźnie. Poznałem tam miłych braci starszych zboru, Kollmana i Nowaka, a poza tym wiele, wiele innych rodzin. Zaproszono mnie do domów i spędziłem długie godziny przed Bogiem. Niezapomnianą pozostała dla mnie przemiła rodzina Kiesslingów. Jak bardzo kochali Pana! I przeczuwali, co się ma w przyszłości zdarzyć. W tym przepięknym mieście Imię Jezusa było okropnie znieważane. Ludzie czuli się bardzo pewni siebie, bo przecież dzięki licznym dziełom sztuki, miasto to było jakby ozdobną szkatułką Niemiec. Ale również unosiły się nad nim grzechy przeciw Bogu. Pan Bóg milczał długo, lecz w końcu musiało się wypełnić to typowo saksońskie powiedzenie: „Boże, potęp mnie!”. W lutym 1945 roku przyszła najstraszliwsza kara wojny na Drezno. Według raportów amerykańskich zginęło tam wtedy 380 tysięcy ludzi, zaś raporty niemieckie mówiły o 600 tysiącach zabitych, jako że podczas owego okropnego ataku bombowego w mieście znajdowało się ponad pół miliona uciekinierów ze Wschodu. Pewien ochrzczony w Duchu pastor miał wizję w roku 1909, gdy przechodził przez most nad Łabą; ujrzał wówczas upadek Drezna.

W nauce robiłem szybkie postępy. Uczyłem się nieomal dzień i noc. Szczególnie rosyjski leżał mi na sercu. Profesorowie Uniwersytetu Lipskiego starali się usilnie, by uczyć nas języków najlepszymi metodami. Abyśmy jednak nie zamienili się ponownie w całkowitych cywilów i nie zapomnieli zupełnie szlifowania wojskowego, robiono często apele. Sierżant wziął mnie szczególnie „na muszkę”. Ciągłe mnie szykanował. Cierpliwość moja została wystawiona na ciężką próbę i nauczyłem się więcej modlić. Znów był apel. Karabin miałem sumiennie wyczyszczony. Ale widocznie po drodze wpadł doń jakiś pyłek. Sierżant zagrział:

— Dlaczego nie oczyściliście swej broni?

— Panie sierżancie, oczyściłem ją.

Zaczął wrzeszczeć jak opętany. Mnie tymczasem ogarnął nadzwyczajny spokój. To jeszcze wzmogło jego złość. Przypadkowo przechodził obok pułkownik. Podszedł do sierżanta. Ten chciał mu złożyć meldunek, ale pułkownik zignorował to, popatrzył mu w oczy i powiedział ostro, choć spokojnie: „Zostawcie mi zaraz tego człowieka w spokoju!”. Byłem zdumiony. To był palec Boży. Sierżant zmienił się od razu, nabrał uprzejmości i starał się nawet nawiązywać ze mną rozmowy.

Na początku maja 1942 roku przeprowadzono u nas selekcję. Dokonywał tego inspektor z komendantury berlińskiej. Rzecz polegała na rozwiązywaniu zagadek opartych na sylabach i liczebnikach. Zobaczyłem w wyobraźni egzamin Daniela i modliłem się również w tej sprawie. Gdy spojrzałem na swe zadania, przyszła mi myśl, że wyraz kluczowy musi chyba brzmieć „egzamin na tłumacza”. Podstawiłem go i zadanie było rozwiązane. Dzięki temu pojechałem do Berlina na specjalny kurs. Ponieważ tymczasem uszkodziłem sobie staw kolanowy w trakcie ćwiczeń sportowych, nie musiałem już maszerować w szeregu, lecz mogłem przechodzić spacerkiem przez park. Miałem teraz dużo czasu, który jednak należało poświęcić dzieciom Bożym. Wkrótce odszukałem kilka osób, wśród nich również brata Marcina Gensichena. Wspaniałe były godziny modlitewne z nim i z jego żoną.

— Tak — powiedział żartobliwie — modlę się za całą ulicę, za całą dzielnicę, za cały Berlin, za całe Niemcy, za lud i ojczyznę, za Hitlera — I z uśmiechem dodał — również za Stalina i Churchilla. Jezus niebawem przyjdzie, a ty jako dziarski żołnierz masz o Nim świadczyć.

Niekiedy potok jego słów prawie nie ustawał. A po chwili już był na kolanach i wielbił Pana. Nasz Pan Bóg ma wielki wspaniały ogród z wieloma różnymi kwiatami Bożymi, wśród których był również ten Boży człowiek. Szczególnie w pamięci pozostała mi jego radość wiary i modlitwy za innych. Może musiałem właśnie udać się do Berlina, aby go poznać bliżej.

Potem spotkała mnie jeszcze pewna niespodzianka. Od braci i sióstr usłyszałem, że do Berlina przyjechał w tajemnicy brat Gustaw Herbert Schmidt. Wkrótce odnalazłem jego kryjówkę. Gestapo znów mu deptało po piętach. Siedem miesięcy siedział w areszcie śledczym i miał za sobą głódówkę. Poważny jak zawsze, przywitał mnie ze łzami w oczach. Nie wolno mu było wiele opowiadać. Przy ewentualnym aresztowaniu mogli go przecież o to indagować. Rozmawialiśmy na temat Jezusa. Pomodliliśmy się, popatrzyliśmy sobie w oczy i pożegnaliśmy się milcząco, bo ze wzruszenia zabrakło nam słów.

Tu w Berlinie nauczyłem się milczeć. Jedno słowo za dużo, wypowiedziane bez zastanowienia, mogło oznaczać nieszczęście dla mnie i dla innych. Na kurs uczęszczali inteligentni młodzi ludzie. Większość z nich nie wierzyła już w zwycięstwo Niemiec. Przyszłość widzieli ponuro. Myślę zwłaszcza o młodym Heilmannie. Pogodny chłopak. Starał się porozmawiać ze mną i poruszyć także kwestie polityczne. Bóg był mi jednak łaskawy i czuwał nade mną. Moją polityką był Jezus. Ci młodzi ludzie byli do głębi nieszczęśliwi. Było mi ich ogromnie żal. Ale niewiele mogłem im wyświadczyć. Niektórzy znaleźli śmierć w tak zwanej „czerwonej kapeli” w okresie Bożego Narodzenia w 1943 roku. A inni latem 1944 roku.

Cieszyłem się przeto, że kurs dobiega końca. Ogarnęło mnie szczególne przygnębienie, chyba dlatego, że nie można było swobodnie rozmawiać. W lipcu 1942 odkomenderowano mnie na Wschód do sztabu wojskowego „Centrum”.

Pojechałem przez Łódź, gdzie mogłem raz jeszcze zobaczyć się z żoną i synkiem, zanim udałem się na ten Wschód, którego się obawiałem. Odwiedziłem na krótko niewielu braci i siostry, wśród nich przemiłą matkę Mittelstadt. Pocieszała mnie wspaniale na drogę. W Warszawie jednak załamałem się. Odszukałem tu brata Stanisława Krakiewicza. Było to bardzo niebezpieczne, ale Pan Bóg trzymał Swą rękę nad moim życiem. Wiedziałem, jak mało Polacy otrzymują żywności. Obładowany bagażem zapukałem do jego drzwi. Zaraz mnie poznał. Radca ministerialny! Dawniej zadbany, dobrze wyglądający mężczyzna, teraz zaś podupadły i nędzny. Nieco dalej stała jego żona. Była trochę przestraszona, bo pojawiłem się przecież w mundurze niemieckim. Ale on zaraz powiedział:

— Nic się nie bój, to jest brat Krüger z Przesieka. U jego ojca zawsze prowadziłem nabożeństwa. To nasz brat.

Podeszła także ona i pozdrowiła mnie ze łzami. Gdy wypakowałem przywiezione wiktuały, wziął Stanisław dużą pomarańczę do ręki i powiedział:

— Popatrz żono, jaki Boży dar!

Łzy pokryły jego policzki i zaczęliśmy dziękować Panu i wielbić Go, że nie zapomniał o swoich i nigdy nie przychodzi za późno.

Musiałem się bardzo śpieszyć do pociągu i mało miałem okazji zobaczenia biedy wielu dzieci. Widziałem je jednak, jak obok dworca wyciągały chude rączki prosząc o żywność. Och, te dzieci były obrazą dla Pana Boga! Koledzy stali ze mną przy oknie i niejedną rzucił coś ostatniego tym dzieciom. Również w niemieckiej armii bywali żołnierze, którzy mieli serce. Po całonocnej podróży wjechaliśmy na terytorium

radzieckie. Ale na krótko przed tym zatrzymał się pociąg jeszcze w Radoszkowicach. Znałem tę miejscowość. Tu mieszkał znany szeroko „Gedeon”, brat Niedźwiecki. Chętnie bym go odwiedził, ale postój trwał tylko 10 minut. Kilku ludzi stało na przeciwległym peronie. Spytałem o niego. Odpowiedzieli, że był tu przed godziną i że go pozdrowią ode mnie. Następnego roku został rozstrzelany przez SS, które w ramach odwetu zaaresztowało wszystkich mężczyzn z tej miejscowości i co dziesiątego skazano na śmierć. Tak się o tym dowiedziałem później od braci rosyjskich.